



BĘDZIESZ TAM?

GUILLAUME
MUSSO

Prolog

Północno-wschodnia Kambodża
Pora deszczowa
Wrzesień 2006

Helikopter Czerwonego Krzyża wylądował o czasie.

Miasteczko wzniesione na wysokim, otoczonym lasami płaskowyżu liczyło około setki prymitywnych zabudowań skleconych z otoczaków i gałęzi. Miejsce, odległe od turystycznych regionów Angkoru i Phnom Penh, wydawało się zagubione i nietknięte przez cywilizację. Powietrze przesycone było wilgocią, a wszystko wokół pokryte błotem.

Pilot nawet nie wyłączył silnika. Miał za zadanie przewieźć do miasta członków medycznej misji humanitarnej. Nic prostszego, w normalnych warunkach. Niestety, był wrzesień i rześiste ulewy utrudniały sterowanie maszyną. Jeśli chodzi o zapasy paliwa, były ograniczone, niemniej wystarczały do przetransportowania całej ekipy do bezpiecznej przystani.

Pod warunkiem że wszystko przebiegnie sprawnie...

Dwaj chirurdzy, jeden anestezjolog i dwie pielęgniarki

wybiegli z prowizorycznego ambulatorium, w którym pracowali od wczoraj. W ciągu ostatnich tygodni przemierzali okoliczne wioski, lecząc – najlepiej jak było można – chorych dotkniętych malarią i gruźlicą oraz zarażonych HIV. Na tym skrawku ziemi, wciąż jeszcze nafaszerowanym minami przeciwpiechotnymi, opatrywali amputowane kończyny i zaopatrywali rannych w protezy.

Na sygnał dany przez pilota czworo spośród pięciorga członków ekipy wpakowało się do helikoptera. Ostatni pasażer, mężczyzna około sześćdziesiątki, został nieco w tyle i spoglądał na grupkę Khmerów otaczających maszynę. Wyraźnie ociągał się z wejściem na pokład.

– Musimy ruszać, doktorze! – krzyknął do niego pilot.
– Jeśli nie wystartujemy natychmiast, nie zdąży pan na swój samolot.

Lekarz kiwnął głową. Już zamierzał wsiąść do helikoptera, kiedy jego wzrok napotkał oczy dziecka trzymanego na rękach przez starca. Ile mogło mieć lat? Dwa? Najwyżej trzy. Jego mała twarzyczka była straszliwie zniekształcona przez pionową szczelinę przecinającą górną wargę. Deformacja wrodzona, skazująca je na odżywianie się przez całe życie wyłącznie zupą i papkami, uniemożliwiająca artykulację choćby najprostszego słowa.

– Niech się pan pośpieszy! – ponagliła jedna z pielęgniarek.

– Trzeba zoperować to dziecko – odpowiedział lekarz, usiłując przekrzyczeć śmigło wirujące hałaśliwie nad jego głową.

– Już za późno! Drogi są nieprzejezdne z powodu powodzi, a helikopter nie będzie mógł wrócić tu po pana wcześniej niż za kilkanaście dni.

Lekarz nie ruszył się z miejsca. Nie mógł oderwać wzroku od chłopczyka. Wiedział, że w tej części świata dzieci urodzone z zajęczą wargą bywały – zgodnie z dawnymi zwyczajami – porzucane przez rodziców. Kiedy takie dziecko trafiało do sierocińca, ta wada pozbawiała je szansy na znalezienie rodziny adopcyjnej.

Pielęgniarka ponowiła atak:

– Pojutrze musi pan być w San Francisco, doktorze. Przed panem mnóstwo operacji, nie wspominając o wykładach i...

– Lećcie beze mnie – uciał krótko i oddalił się od maszyny.

– W takim razie zostaję z panem – oznajmiła bez wahania jedna z pielęgniarek, zeskakując na ziemię.

Miała na imię Emily i była młodą Amerykanką pracującą razem z lekarzem w jednym szpitalu.

Pilot tylko westchnął i pokręcił głową. Helikopter wzniosł się pionowo, zawisł na krótką chwilę w powietrzu, po czym oddalił się w kierunku zachodnim.

Lekarz wziął dziecko na ręce. Było blade i skulone. Z pomocą pielęgniarki zaniósł je do ambulatorium i zaczął do niego mówić, chcąc zmniejszyć jego strach przed podaniem narkozy. Kiedy chłopczyk zasnął, ostrożnie naciął skalpelem podniebienie i naciągnął brzegi, żeby zespolić szczelinę. Następnie, postępując w ten sam sposób, zrekonstruował wargi, aby zwrócić dziecku uśmiech.

□

Kiedy operacja została zakończona, wyszedł i usiadł na chwilę na werandzie pokrytej blachą i suchymi liśćmi. To był długi zabieg, a on nie spał od prawie dwóch dni.

Teraz poczuł ogarniające go zmęczenie. Zapalił papierosa i rozejrzał się wkoło. Deszcz prawie ustał. Przez dziurę w niebie przelewało się oślepiające, purpurowe światło.

Nie żałował, że został. Każdego roku wyjeżdżał z Czerwonym Krzyżem na kilka tygodni do Afryki albo do Azji. Te misje humanitarne były wyczerpujące, ale z czasem stały się narkotykiem, sposobem na ucieczkę od dobrze zorganizowanego życia ordynatora oddziału jednego z kalifornijskich szpitali.

Gasząc papierosa, poczuł za plecami czyjąś obecność. Odwrócił się i zobaczył starego mężczyznę, który trzymał na rękach dziecko w chwili, gdy helikopter szykował się do odlotu. Był to ktoś w rodzaju wodza wioski. Ubrany w tradycyjny strój, miał zgarbione plecy i twarz pooraną bruzdami. W geście pozdrowienia przysunął złożone dłonie do brody, wyprostował się i popatrzył na lekarza. Potem zapraszającym gestem wskazał wewnątrz swojego domostwa, gdzie poczęstował go alkoholem ryżowym. Po chwili milczenia rzekł:

– Nazywa się Lou-Nan.

Lekarz domyślił się, że chodzi o imię dziecka, więc tylko kiwnął głową.

– Dziękuję, że zwróciłeś mu twarz – dodał stary Khmer.

Chirurg przyjął to podziękowanie z pokorą i lekko zażenowany odwrócił wzrok. Przez okno pozbawione szyb spojrzał na rozciągający się w pobliżu las tropikalny, gęsty i zielony. Zabawnie było myśleć, że zaledwie parę kilometrów dalej i trochę wyżej, w górach Ratanakiri, żyją jeszcze tygrysy, węże i słonie...

Zatopiony w myślach, ledwie uchwycił sens słów wypowiedzianych z nienacką przez gospodarza:

– Gdybyś mógł spełnić jedno pragnienie, które byś

wybrał?

– Słucham?

– Jakie jest twoje największe pragnienie, doktorze?

Z początku lekarz szukał w myślach jakiejś mądrej odpowiedzi, ale przytłoczony zmęczeniem i pod wpływem nagłego wzruszenia, odpowiedział cicho:

– Chciałbym zobaczyć pewną kobietę.

– Kobietę?

– Tak, tylko jedną... Jedyną, która się liczyła.

Raptem, w tym miejscu oddalonym o tysiące kilometrów od zachodniego świata, coś uroczego wkradło się między tych dwóch mężczyzn.

– Ta kobieta, nie wiesz gdzie ona jest? – spytał stary Khmer zaskoczony prostotą odpowiedzi swojego rozmówcy.

– Umarła trzydzieści lat temu.

Azjata zmarszczył brwi i popadł w głęboką zadumę. Po chwili ciszy wstał z godnością i przeszedł w głąb pomieszczenia, gdzie na prymitywnie skleconych półkach trzymał część swoich talizmanów: suszone koniki morskie, korzenie żeń-szenia, jadowite węże zamknięte w słojach z formaliną...

Przez moment szperał w tej zbieraninie, po czym najwidoczniej znalazł to, czego szukał.

□

Kiedy wrócił, podał lekarzowi małeńki flakonik z dmuchanego szkła.

W środku było dziesięć połączanych pigułek...

1

Spotkanie pierwsze

Pewnego pięknego wieczoru przyszłość staje się przeszłością. Wtedy właśnie odwracamy się i widzimy własną młodość.

Louis Aragon

Lotnisko w Miami
Wrzesień 1976
Elliott ma 30 lat

Jest niedziela, wrześniowe słoneczne popołudnie na Florydzie... Młoda kobieta siedząca za kierownicą thunderbirda z opuszczonym dachem, podjeżdża drogą prowadzącą do terminalu lotniska. Pęd powietrza rozwiewa jej włosy, dziewczyna jedzie szybko, wyprzedza kilka samochodów, po czym zatrzymuje się na krótką chwilę przed halą odlotów, żeby wysadzić siedzącego obok niej pasażera. Mężczyzna wyjmuje torbę podróżną z bagażnika i pochyla się nad opuszczoną szybą, aby dać całusa swojemu kierowcy. Potem trzaska drzwiami i wchodzi do budynku ze szkła i stali.

Mężczyzna to Elliott Cooper. Ujmująca powierzchowność, strzelista sylwetka. Pracuje w jednym ze szpitali w San Francisco jako lekarz, ale skórzana kurtka i rozwichrzone włosy nadają mu chłopięcy wygląd.

Machinalnie kieruje się do stanowiska odprawy, gdzie odbiera swoją kartę pokładową: Miami – San Francisco.

– Założę się, że już za mną tęsknisz...

Słyszając znajomy głos, zaskoczony Elliott odwraca się gwałtownie.

Stojąca przed nim kobieta spogląda na niego szmaragdowymi oczami, wyzywająco i czule zarazem. Ma na sobie džinsy z obniżoną talią, obcisłą zamszową kurteczkę ozdobioną naszywką z napisem: *peace and love* oraz T-shirt w barwach Brazylii, z której pochodzi.

– Kiedy to ostatni raz cię pocałowałem? – pyta Elliott, kładąc dłoń na jej szyi.

– Chyba przed minutą.

– O, to już cała wieczność...

Obejmuje ją i tuli w ramionach.

Ma na imię Ilena i jest kobietą jego życia. Zna ją od dziesięciu lat i zawdzięcza jej wszystko, co w nim najlepsze: zawód lekarza, otwarcie na innych i wymagania, jakie sobie stawia...

Jest nieco zdziwiony, że wróciła, wbrew wspólnemu postanowieniu, że będą unikać długich scen pożegnania. Tych kilka dodatkowych minut dostarcza w efekcie więcej cierpień niż radości.

Dlatego że historia tych dwojga jest dość skomplikowana. Ona mieszka na Florydzie, on w San Francisco.

Ich wieloletnia miłość nadal trwa, mimo że żyją w różnych strefach czasowych, oddzieleni czterema

tysiącami kilometrów – jedno na Wschodnim, a drugie na Zachodnim Wybrzeżu.

Po tylu latach znajomości mogliby wreszcie razem zamieszkać. Jednak wciąż nie mogą się na to zdecydować. Z początku obawiali się upływu czasu, bo codzienne obcowanie i spokojniejsze życie mogłyby pozbawić ich uniesień przeżywanych przy każdym ponownym spotkaniu – doznań, które były jak tlen.

Poza tym, każde z tych dwojga ma własne życie zawodowe. Jedno zwrócone jest w stronę Pacyfiku, drugie – ku Atlantykowi. Po nieskończonej długich studiach medycznych Elliott otrzymał niedawno stanowisko chirurga w jednym ze szpitali San Francisco. Ilena zaś jest weterynarzem i zajmuje się zawodowo delfinami i orkami w Ocean World w Orlando, największym parku morskim. Od paru miesięcy poświęca również sporo czasu organizacji Greenpeace, o której zaczyna być głośno. Założona przed czterema laty przez grupę wojujących pacyfistów i ekologów liga „tęczowych bojowników” stała się znana dzięki swojej walce przeciw próbom nuklearnym. Jednak głównym powodem, dla którego niedawno przyłączyła się do nich Ilena, jest kampania przeciwko zabijaniu wielorybów i fok.

Tak więc zarówno Elliott, jak i Ilena prowadzą życie, w którym nie ma czasu na nudę. Chociaż... Z czasem każde kolejne rozstanie staje się trudniejsze od poprzedniego.

Pasażerowie lotu siedemset jedenaście do San Francisco proszeni są o natychmiastowe udanie się do wyjścia numer osiemnaście...

– To twój samolot? – pyta dziewczyna, wysuwając się z objęć Elliotta.

Elliott kiwa głową i odpowiada pytaniem na pytanie, bo dobrze zna Ilenę:

– Czy chcesz mi coś powiedzieć, zanim się rozstaniemy?

– Tak, ale odprowadzę cię do samego wyjścia numer osiemnaście – mówi, biorąc go za rękę.

Idąc tak u jego boku, zaczyna coś mówić z tym swoim południowoamerykańskim akcentem, który go zniewala.

– Dobrze wiem, że świat zmierza ku katastrofie, Elliott: zimna wojna, widmo komunizmu, wyścig zbrojeń...

Przy każdym rozstaniu on patrzy na nią, jakby widział ją po raz ostatni. Jest taka piękna! Taka promienna!

– ...wyczerpanie naturalnych zasobów, nie mówiąc już o skażeniu środowiska, niszczeniu lasów tropikalnych i...

– Ileno?

– Tak? Słucham.

– Do czego właściwie zmierzasz?

– Zróbmy sobie dziecko, Elliott...

– Tu, natychmiast, na lotnisku? Na oczach tego tłumu ludzi?

To wszystko, na co się zdobywa. Odrobina humoru dla zamaskowania zdumienia. Ale Ilenie daleko jest do śmiechu.

– Ja nie żartuję, Elliott. Radzę, żebyś się nad tym poważnie zastanowił – mówi, po czym uwalnia swoją dłoń z jego ręki i kieruje się do wyjścia.

– Zaczekaj! – krzyczy Elliott, chcąc ją zatrzymać.

Ostatnie wezwanie dla pana Elliotta Coopera, pasażera lotu siedemset jedenaście do...

– Jasna cholera! – klnie i zrezygnowany wchodzi na schody ruchome prowadzące do strefy odlotów.

Kiedy jest prawie na samej górze, odwraca się, żeby ostatni raz pomachać jej na pożegnanie.

Jesienne słońce zalewa halę odlotów.

Elliott macha ręką.

Ale Ileny już nie ma.

□

Lot trwał sześć godzin. Kiedy samolot wylądował w San Francisco, w Kalifornii minęła już godzina dwudziesta pierwsza.

Elliott zamierzał opuścić terminal i wsiąść do taksówki, ale się rozmyślił. Umierał z głodu. Wytrącony z równowagi ostatnimi słowami Ileny, nawet nie tknął jedzenia serwowanego w samolocie, a w domu lodówka była pusta. Na drugim piętrze zauważył restaurację, Golden Gate Café. Już kiedyś w niej był z Mattem, najlepszym przyjacielem, który czasami towarzyszył mu w wyprawach na Wschodnie Wybrzeże. Zajął miejsce przy barze i zamówił sałatkę, dwa precele i kieliszek chardonnay. Przetarł oczy zmęczone długim lotem i poprosił o żeton do automatu telefonicznego stojącego w głębi sali. Wybrał numer Ileny, ale nikt nie odpowiadał. Z powodu różnicy czasu na Florydzie dawno minęła już północ. Na pewno była w domu, ale może nie chciała z nim rozmawiać.

To było do przewidzenia...

Jednak Elliott nie żałował swojej reakcji na sugestię Ileny. Powód był prosty – nie pragnął dziecka.

Właśnie tak, a nie inaczej.

Nie chodziło wcale o jego uczucia: uwielbiał Ilenę i miał w sobie tyle miłości, że mógłby nią handlować. Ale to nie był wystarczający powód. W połowie lat

siedemdziesiątych ludzkość najwyraźniej nie zmierzała w dobrym kierunku, a on, prawdę mówiąc, nie chciał brać na swoje barki odpowiedzialności za dziecko.

Były to argumenty, na które Ilena pozostawiała głucha.

Wróciwszy na swoje miejsce przy barze, skończył jeść i zamówił kawę. Był zdenerwowany i bezwiednie wyłamywał palce ze stawów. W kieszeni marynarki wymacał paczkę papierosów i nie odmówił sobie przyjemności zapalenia.

Wiedział, że powinien z tym skończyć. Wokół coraz częściej mówiono o szkodliwości palenia. Badania prowadzone od piętnastu lat wykazywały związek uzależnienia od nikotyny z ryzykiem zachorowania na raka płuc i choroby układu krążenia, o czym Elliott, jako lekarz, doskonale wiedział. Tylko że, jak większość lekarzy, bardziej przejmował się zdrowiem pacjentów niż swoim własnym. Nie zapominajmy, że żył w czasach, gdy w restauracjach albo w samolotach palenie było jeszcze rzeczą normalną. W epoce, w której papieros był symbolem *glamour* oraz wolności kulturowej i społecznej.

Niedługo przestanę, myślał, wydmuchując kłęb dymu, tyle tylko, że jeszcze nie teraz... Dzisiaj był zbyt zdeprymowany, by zdobyć się na taki wysiłek.

Błądząc po sali roztargnionym wzrokiem, spojrzał przez okno i wtedy zobaczył go po raz pierwszy: mężczyznę w bladoniebieskiej piżamie, który zdawał się go obserwować zza szyby. Zmrużył oczy, żeby przyjrzeć mu się dokładniej. Miał około sześćdziesiątki, wysportowaną sylwetkę i krótką, ledwie siwiejącą brodę, co upodobało go do starzejącego się Seana Connery'ego. Elliott zmarszczył brwi. Co ten typ robi na lotnisku o tak późnej porze, bosy i w piżamie?

Właściwie nie powinien się tym martwić, ale jakaś nieznana siła spowodowała, że wyszedł z restauracji i skierował się w jego stronę. Mężczyzna wyglądał na zdezorientowanego, jakby sam nie wiedział, skąd się tu wziął. W miarę jak Elliott zbliżał się do nieznajomego, ogarniało go uczucie słabości, do której nie chciał się przyznać przed samym sobą. Kim był ten człowiek? Może pacjentem zbiegłym z jakiegoś szpitala albo zakładu... W takim razie, czy jako lekarz nie powinien mu pomóc?

Kiedy dzieląca ich odległość zmniejszyła się do około trzydziestu metrów, zrozumiał wreszcie, co nim tak wstrząsnęło. Mężczyzna przypominał mu ojca zmarłego przed pięcioma laty na raka trzustki.

Zbulwersowany tym odkryciem, podszedł jeszcze bliżej. Teraz podobieństwo było uderzające: te same rysy twarzy i dołek w policzku, taki sam jak u niego...

A gdyby to był on...?

Nie, trzeba się z tego otrząsnąć! Ojciec umarł, to pewne. Przecież widział, jak wkładano go do trumny i był obecny przy kremacji.

– Czy mogę panu jakoś pomóc?

Mężczyzna cofnął się o kilka kroków. Wydawał się równie wstrząśnięty jak Elliott. Przy tym sprawiał wrażenie kogoś jednocześnie silnego i bezradnego.

– Mogę panu pomóc? – powtórzył pytanie.

Tamten tylko wymamrotał:

– Elliott...

Skąd znał jego imię? Na dodatek ten głos...

Stwierdzenie, że nie byli sobie bliscy, zakrawało na eufemizm. Teraz jednak, kiedy ojciec nie żył, Elliott żałował czasami, że w przeszłości niewiele uczynił, by

spróbować lepiej go zrozumieć.

Skonsternowany i świadomy absurdalności swojego pytania, zadał je głosem stłumionym przez emocję:

– Tata?

– Nie, Elliott, nie jestem twoim ojcem.

O dziwo, ta trzeźwa odpowiedź wcale go nie upewniła, jakby jakieś przeczucie podpowiadało mu, że to, co najdziwniejsze, dopiero nastąpi.

– W takim razie, kim pan jest?

Mężczyzna położył mu dłoń na ramieniu. Znajomy błysk pojawił się w jego oczach, ale odpowiedź padła dopiero po kilku sekundach.

– Jestem tobą, Elliott...

Lekarz cofnął się o krok i znieruchomiał jak rażony gromem; tymczasem mężczyzna dokończył zdanie:

– ...jestem tobą, za trzydzieści lat.

□

Mną? Za trzydzieści lat?

Elliott rozłożył ręce w geście oznaczającym brak zrozumienia.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

Mężczyzna otworzył usta, ale nie zdążył dorzucić innych wyjaśnień: z jego nosa wypłynął strumień krwi, która spadała wielkimi kroplami na górę od piżamy.

– Proszę pochylić głowę do przodu! – rozkazał Elliott, wyjmując z kieszeni papierową serwetkę, którą przed chwilą odruchowo zabrał z restauracji, a teraz przykładł do twarzy mężczyzny. Uznał go za swojego pacjenta.

– To nic takiego – rzekł spokojnym tonem.

Przez chwilę pożałował, że nie ma przy sobie torby lekarskiej, ale na szczęście krwotok szybko ustał.

– Proszę pójść ze mną. Trzeba obmyć twarz wodą.

Mężczyzna ruszył za nim bez słowa. Jednak kiedy znaleźli się w pobliży toalet, zaczął się nagle trząść, jakby dostał ataku epilepsji.

Elliott chciał przyjść mu z pomocą, ale tamten go odepchnął.

– Zostaw mnie! – krzyknął i otworzył drzwi do łazienki.

W tej sytuacji Elliott postanowił zaczekać na zewnątrz. Czuł się odpowiedzialny za tego faceta, a nie był wcale pewien, czy wszystko z nim w porządku.

Co za historia! Najpierw to podobieństwo do ojca, potem zdanie bez sensu – „jestem tobą za trzydzieści lat” – a teraz krwotok z nosa i drgawki.

O kurwa, ale dzień!

Ale dzień jeszcze się nie skończył. Po chwili, uznawszy, że czeka zbyt długo, Elliott postanowił wejść do toalety.

– Proszę pana?

Było to długie pomieszczenie. Elliott obejrzał najpierw rząd umywalek. Nikogo nie zobaczył. Nie było tu ani okien, ani zapasowego wyjścia. Mężczyzna powinien zatem być w którejś kabinie.

– Jest pan tam?

Żadnej odpowiedzi. Obawiając się, że facet zemdlął, lekarz otworzył pierwsze drzwi: nikogo.

W drugiej kabinie: też nikogo.

Trzecia, czwarta... dziesiąta – również puste.

Zrozpaczony spojrzał na sufit: wszystkie płytki były na swoim miejscu.

□

Jakkolwiek wydawało się to niemożliwe, było oczywiste, że mężczyzna zniknął.

2

*Interesuje mnie przyszłość: tam właśnie
zamierzam spędzić najbliższe lata.*

Woody Allen

San Francisco
Wrzesień 2006
Elliott ma 60 lat

Błyskawicznie otworzył oczy. Leżał w poprzek łóżka. Serce waliło mu w piersi jak oszalałe. Był zlany potem.

Jakiś cholerny koszmar!

Nigdy nie pamiętał swoich snów, a właśnie przyśniło mu się coś szczególnie dziwnego: błakając się po lotnisku San Francisco, nagle wpadł na... na własnego sobowtóra. Tyle że młodszego i równie zdumionego na jego widok, jak on sam. Wszystko wydawało się takie realne, zbijające z tropu, jakby rzeczywiście został przeniesiony w przeszłość, trzydzieści lat wstecz.

Elliott nacisnął guzik zdalnie sterujący rozsuwaniem zasłon i spojrzał z niepokojem na leżący na nocnym stoliku szklany flakonik z małymi połączanymi pigułkami. Otworzył go – w środku pozostało dziewięć kuleczek.

Wczoraj przed snem połknął jedną przez ciekawość. Czyżby z jej powodu miał ten sen? Stary Khmer niejasno mówił coś na temat działania tego specyfiku, a nawet nie omieszkął uroczyście zalecić, żeby nigdy nie zażywać go niezgodnie z przeznaczeniem.

Elliott z trudem wstał z łóżka i podszedł do okna wychodzącego na marinę. Rozciągał się stąd przepiękny widok na ocean, wyspę Alcatraz i Golden Gate. Wschodzące słońce zalewało miasto czerwonym światłem zmieniającym odcień z minuty na minutę. W oddali żaglówki i promy mijały się przy dźwięku buczków przeciwmgielnych, i pomimo wczesnej pory, kilka osób uprawiających jogging biegało wzdłuż Marina Green po szerokim pasie zieleni ciągnącym się wzdłuż brzegu oceanu.

Ten znajomy widok nieco go uspokoił. Nabrał pewności, że wkrótce zdoła zapomnieć o burzliwej nocy. Ledwie o tym pomyślał, w szybie zobaczył wstrząsające odbicie: ciemną plamę rozlaną na górze od piżamy. Spuścił wzrok, żeby przyjrzeć się jej dokładnie.

Krew?

Serce zaczęło bić mocniej, ale tylko przez chwilę. Prawdopodobnie w nocy pociekła mu krew z nosa i stąd ten koszmarny sen. Klasyczny przypadek. Nie ma potrzeby się martwić.

Trochę spokojniejszy wszedł do łazienki, żeby przed pójściem do pracy wziąć prysznic. Wyregulował strumień wody i przez chwilę stał nieruchomo w kłębach pary, nie przestając rozmyślać. Coś jeszcze nie dawało mu spokoju. Ale co? Zaczął się rozbierać i wtedy intuicyjnie sięgnął do kieszeni piżamy. Znalazł w niej papierową serwetkę, na której, pod smugami krwi, można było dojrzeć kontur

najsłynniejszego mostu w mieście, a nad nim napis: *Golden Gate Café – Lotnisko San Francisco*.

Serce Elliotta ponownie zabiło jak szalone, ale tym razem odzyskanie spokoju zajęło więcej czasu.

□

Czyżby tracił głowę z powodu choroby?

Przed kilkoma miesiącami zrobiono mu bronchoskopię, która wykazała raka płuc. Prawdę mówiąc, nie zdziwił się: nie można bezkarnie przez czterdzieści lat palić paczki papierosów dziennie. Od dawna wiedział, czym to grozi, i pogodził się z konsekwencjami. Bywa i tak, całe życie jest jednym wielkim ryzykiem. Nigdy za wszelką cenę nie unikał zdarzeń, jakie niesie los, i nie starał się żyć w sposób szczególnie ostrożny. Na swój sposób wierzył w przeznaczenie: co ma być, to będzie. Człowiek musi być przygotowany na wszystko.

Obiektywnie rzecz biorąc, była to paskudna odmiana raka: jedna z tych, które ewoluują bardzo szybko i leczą się najgorzej. W ostatnich latach medycyna poczyniła znaczne postępy w tej dziedzinie, nowe lekarstwa pozwalają przedłużyć życie chorych. Jednak dla niego było już za późno, nowotwór nie został wykryty wystarczająco wcześnie, a szczegółowe badania wykazały obecność przerzutów do innych organów wewnętrznych.

Zaproponowano mu leczenie klasyczne – chemioterapię i radioterapię – ale odmówił. W tym stadium choroby i tak byłyby nieskuteczne. Losy walki uważał za przesądzone: za kilka miesięcy trzeba będzie umrzeć.

Dotychczas udawało mu się ukryć chorobę, ale dobrze wiedział, że prędzej czy później zostanie zauważona. Napady kaszlu były coraz częstsze, bóle w okolicy żeber